MARÍA **ZAMBRANO**

FILOZOFIA I POEZJA



KIM JEST **CZŁOWIEK?**

FILOZOFIA I POEZJA



WYDAWNICTWO
UNIWERSYTETU
ŁÓDZKIEGO

MARÍA **ZAMBRANO**

FILOZOFIA I POEZJA

W TŁUMACZENIU MARII JUDYTY WOŹNIAK

WYDAWNICTWO
UNIWERSYTETU
ŁÓDZKIEGO
Łódź 2026

KIM JEST **CZŁOWIEK?**

Seria: *Kim Jest Człowiek?*

Tytuł oryginału: *Filosofía y poesía*

Tłumaczenie: *Maria Judyta Woźniak*
Redaktor inicjujący: *Natasza Kożbiał-Grabowiecka*
Recenzent: *Mieczysław Jagłowski*
Redakcja: *Magdalena Granosik*
Korekta techniczna: *Anna Jakubczyk*

Projekt okładki i stron tytułowych: *Monika Rawska*
Ilustracja wykorzystana na okładce: Samuel Jessurun de Mesquita
Extase (1922), Rijksmuseum

Projekt typograficzny serii: *Maciej Matejewski*
Skład i łamanie: *Munda – Maciej Torz*

Esta edición reproduce la fijación del texto que hicieron Pedro Chacón y Mariano Rodríguez en el Vol. I – Libros (1930–1939) de las OO.CC, de María Zambrano 2015
© Fundación María Zambrano
© Copyright for Polish translation by Maria Judyta Woźniak, Łódź 2026
© Copyright for this edition by Uniwersytet Łódzki, Łódź 2026

Wydane przez Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego
Wydanie I. W.11537.24.0.M

Ark. wyd. 5; ark. druk. 10,875
https://doi.org/10.18778/8445-059-8

ISBN 978-83-8445-058-1
e-ISBN 978-83-8445-059-8

Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego
90-237 Łódź, ul. Matejki 34A
www.wydawnictwo.uni.lodz.pl
e-mail: ksiegarnia@uni.lodz.pl
tel. 42 635 55 77

SPIS TREŚCI

Zamiast wstępu • 7
Myśl i poezja • 15
Poezja i etyka • 35
Mistyka i poezja • 65
Poezja i metafizyka • 103
Poezja • 143
Uwagi • 167

ZAMIAST WSTĘPU

Ta książka – pozwolę sobie tak powiedzieć – narodziła się raczej, niż została napisana. Miało to miejsce w chwili wyjątkowej, trudnej dla mnie do opisania – nie odważę się jej nazwać chwilą niemożności, bo przecież to nie jest wyjątkowe, że droga człowieka prowadzi nie od możliwego do rzeczywistego, lecz właśnie od niemożliwego do prawdziwego. Dlatego mówię o narodzinach, bo dla istoty żywej to jest właśnie najbardziej niemożliwe – zarówno dla zwierzęcia, dla rośliny, a może nawet dla kamienia, dla wszystkiego, co krąży w orbicie prawdziwego wszechświata. I tak, by nie zniechęcić czytelnika, którego istnienie nie jest przecież pewne, opowiem krótko, jak ta książka narodziła się w mieście Morelia, stolicy stanu Michoacán w Meksyku, pewnej niezwykle pięknej jesieni.

Pisząca te słowa udała się – również w niesłychany sposób – do Meksyku. I również w nieprawdopodobnych okolicznościach przygotowała obecne

wydanie książki do publikacji w meksykańskiej serii wydawniczej. Dlaczego zatem i jak napisałam wtedy tę książkę, tamtej ciepłej jesieni 1939 roku? Pod koniec hiszpańskiej wojny domowej zostałam zaproszona do Kuby, a równocześnie pewien uniwersytet w Stanach Zjednoczonych usilnie zabiegał o mnie, bo chciano mnie zatrudnić jako nauczycielkę języka hiszpańskiego. Już wcześniej byłam na Kubie. Na początku wojny w Hiszpanii pojechałam tam, a we wrześniu 1936 roku wyszłam za mąż. Po długiej podróży hiszpańskim statkiem, który wypływał z Kartageny – musiał więc przebyć Cieśninę Gibraltarską i wypłynąć na wody Hiszpanii imperialnej – nie bez przygód dotarliśmy do Hawany. Później dowiedzieliśmy się, że nasz statek zmierzał do Veracruz. Kiedy jednak dopłynęliśmy do Hawany, znajdującej się wówczas pod władzą generała Fulgencia Batisty, statek został zatrzymany, załoga uwięziona, a my uniknęliśmy tego losu tylko ze względu na paszport dyplomatyczny. Sądzę, że już to kiedyś opowiadałam: w miejscu nazywanym La Bodeguita de Enmedio zupełnie nieoczekiwanie zostaliśmy zaproszeni na kolację przez kilku lewicowych intelektualistów. Wśród nich znajdował się bardzo młody José Lezama Lima, który wówczas jeszcze nie publikował i który zaskoczył mnie

swoją małomównością oraz parokrotnym nawiązaniem do tych niewielu tekstów, które ja opublikowałam w „Revista de Occidente". Jeszcze bardziej jednak zdumiało mnie to, że nagle ja, która byłam tylko adiunktem, znalazłam się wśród profesorów, którzy mieli wykładać filozofię w tym znakomitym miejscu. Zostałam również poproszona o prelekcję w Lyceum Club Femenino, którą wygłosiłam tylko dzięki zachęcie urzędującego jeszcze wtedy ambasadora Hiszpanii. Nigdy nie zapomnę – zresztą wiele już lat minęło i nie zapomniałam – tego odczytu o moim mistrzu Ortedze y Gassecie. Ale celem podróży było Chile, Valparaíso, musieliśmy więc, po długiej i kosztownej podróży, przebyć na statku Kanał Panamski. Krajobraz z *Pawła i Wirginii* ukazał mi się tam w całej pełni. I dotarliśmy na drugi brzeg oceanu do Balboa, kiedy zachodziło słońce. Schodziliśmy na ląd w miastach, których nazwy wydawały mi się nierealne, i chociaż dobrze wiedziałam, że w Antofagaście – dokąd trzeba było przywozić ziemię z północy, bo tam była zupełnie jałowa – mówi się po hiszpańsku, tak mnie to zdziwiło, jakbym wcale o tym wcześniej nie wiedziała. I w końcu – żeby już nie przedłużać opowiadania o tej niezapomnianej i decydującej podróży – przybyliśmy do Valparaíso. A stamtąd, przez pole z kaktusami

kandelabrowymi, dotarliśmy do Santiago de Chile. W chwili, gdy wchodziliśmy po schodach budynku ambasady, akurat schodził nimi ambasador, który rzekł do nas: „Niech państwo nie rozpakowują walizek, bo właśnie dzwonił do mnie prezydent republiki, żeby zerwać relacje z Hiszpanią". Tak się jednak nie stało, po raz kolejny zresztą, ale groźba wisiała w powietrzu.

Ale co ma to wszystko wspólnego z książką *Filozofia i poezja*? Chodzi o jej powstanie, o jej narodziny. Miesiące później, kiedy ogłoszono pobór rocznika mojego towarzysza, zdecydowaliśmy się wrócić do Hiszpanii – w chwili, gdy klęska sprawy, w którą wierzyliśmy, była bardziej oczywista niż kiedykolwiek. Dlaczego wracać do Hiszpanii, skoro wiadomo doskonale, że wszystko jest stracone? Cóż, właśnie dlatego, z tego właśnie powodu.

I tak oto dochodzę do *Filozofii i poezji*, która została napisana, kiedy po klęsce udaliśmy się do Meksyku. A wiąże się ona najściślej z tymi okolicznościami, ponieważ napisałam moją książkę tamtej właśnie meksykańskiej jesieni w hołdzie Uniwersytetowi San Nicolás de Hidalgo, bezpośredniemu spadkobiercy dawnych studiów humanistycznych, założonemu przez don Vasco de Quirogę niedaleko jeziora Patzcuaro, który przybył z Hiszpanii do

krainy Indian Tarascos, by urzeczywistnić utopię chrześcijańskiej republiki Tomasza Morusa. Utopią było dla mnie pisanie tej książeczki, bo choć powołanie do filozofii w moim życiu było nieuniknione, to jednak wydawało się niemożliwe, bym ją napisała i w dodatku bym wykładała filozofię – jak to rzeczywiście się stało – na Uniwersytecie San Nicolás de Hidalgo.

Rozumiem Utopię jako piękno nieodłączne, a nawet jako miecz przeznaczenia anioła, który nas prowadzi ku temu, co wiemy, że jest niemożliwe – tak jak autorka tych słów wiedziała zawsze, że filozofią nie mogłaby się zajmować i to wcale nie dlatego, że jest kobietą. Widać to było nawet w mojej reakcji, gdy w młodości pytano mnie, czasem ze współczuciem, czasem z nieco okrutną ironią: a dlaczego chcesz studiować filozofię? Bo nie mogę inaczej. W tej książce opisałam, tamtej pięknej jesieni 1939 roku, jak wielką utopią – utopią w najprawdziwszym sensie – wydawało mi się tę książkę napisać. A z utopią, jeśli towarzyszy ci od urodzenia, nie można dyskutować, choćbyś nawet przeciwko niej się buntował. Zdarzyło się, że w 1940 roku trzy uniwersytety zapragnęły uchodzić za założone przez „hiszpańskich barbarzyńców": San Marcos w Limie, San Carlos w Gwatemali oraz ten, który zawdzięczał

swe istnienie studiom humanistycznym zapoczątkowanym przez Vasco de Quirogę. Musiałam jakoś za to podziękować i po prostu pogodzić się z koniecznością napisania książki, chociaż zdarzało się, że buntowałam się przeciwko temu narzuconemu pisaniu – narzuconemu nie przez akademickie zobowiązania, tylko osobiście przez mojego ówczesnego kolegę, który nie posiadając na to żadnych środków, mógł wydrukować zaledwie kilka egzemplarzy. Drżałam, jak wcześniej, kiedy miałam w Meksyku – jako członkini Casa de España – wygłosić trzy referaty, które złożyły się na tom *Myśl i poezja w życiu Hiszpanii*. Ale właśnie wtedy, gdy kończył się rok akademicki, poproszono mnie – był to jakiś dyskretny nakaz skierowany do mnie przez kolegę – o tę właśnie książkę, którą przedstawiam dziś czytelnikowi, a która została wydana drukiem w Morelii, potem zredagowana na nowo, z ręcznie naniesionymi poprawkami w niektórych rozdziałach egzemplarzy, które ofiarowano mi na uniwersytecie w prezencie.

Pierwszy rozdział tej książki został opublikowany najpewniej w czasopiśmie „Taller", założonym i kierowanym przez podziwianego przeze mnie Octavia Paza, z którym od tamtej pory się przyjaźniliśmy. Wówczas jednak chodziło już o książ-

kę, chodziło już o niewidzialnego i nieubłaganego anioła, który narzucał swoje wymagania. Siłą nie dało się nic zrobić – była to tylko kwestia powołania, powołania utopijnego.

Po raz drugi książeczka ukazała się w *Dziełach zebranych* w wydawnictwie Aguilar, któremu zaufałam, ale wydawnictwo tego w żaden sposób nie doceniło.

Teraz na nowo odczuwam ten sam dreszcz, jakbym pisała moją książkę po raz pierwszy, i ośmielam się ją wydać tylko dlatego, iż wierzę, że to, co się narodziło, powinno zostać wydane i uszanowane. Kto może sądzić coś takiego? Nie chcę uchylać się od odpowiedzialności. Wynika to z pokory, a nie z pragnienia wywyższania się. Wiadomo, że najtrudniej jest nie wzbijać się w górę, lecz uniżać się. Odkryłam też, że pokora jest lepszym uzasadnieniem dla naszego postępowania niż dążenie do wzniosłych rzeczy. Cnotą Matki Bożej było nie wywyższanie się, lecz uniżenie – choć owszem, nie samodzielnie. Nie pretenduję do tego, żeby we mnie – czy też szczególnie w mojej książce – wypełniła się najczystsza cnota. Nie mogłoby tak być. Ale owszem, widzę jasno, że lepiej uniżyć się wobec niemożności, niż w zagubieniu błąkać się po piekle światła. Niech więc z tej właśnie perspektywy osądzi mnie

potencjalny czytelnik: wolałam ciemność, którą niegdyś odkryłam jako ocalający półmrok, zamiast błąkania się w zagubieniu i samotności po piekle światła. To jest moje usprawiedliwienie. Niech więc sądzi mnie miłość, a jeśli i na nią nie zasługuję, niech osądzi mnie współczucie. I nie powiem już niż więcej – myślę, że to wystarczy mojemu czytelnikowi, którego istnienie nie jest pewne, ale też nie jest niemożliwe.

María Zambrano
Madryt, 15 lutego 1987 roku

MYŚL I POEZJA

Chociaż u niektórych szczęśliwych śmiertelników poezja i myśl mogły zaistnieć w tym samym czasie równolegle obok siebie, u innych zaś, jeszcze bardziej uprzywilejowanych, poezja i myśl mogły się spleść w jedną formę wyrazu, prawdą jest, że w naszej kulturze myśl i poezja przeciwstawiają się sobie. Każda z nich pragnie na zawsze zawładnąć duszą, którą zamieszkuje. A to podwójne przyciąganie może być niekiedy przyczyną niespełnionego powołania i ogromnego, niekończącego się przygnębienia płynącego z bezpłodności.

Ale jest inny, ważniejszy powód, dla którego nie możemy pominąć tego zagadnienia – dzisiaj poezja i myśl są dla nas dwoma niewystarczającymi formami, połówkami człowieka: filozofa i poety. Nie odnajdujemy człowieka w całej pełni w filozofii. Nie odnajdujemy całości tego, co ludzkie, w poezji. W poezji odnajdujemy bezpośrednio człowieka

konkretnego, indywidualnego. W filozofii – człowieka w jego historii powszechnej, w jego pragnieniu bycia. Poezja to spotkanie, dar, łaska odnalezienia. Filozofia natomiast poszukuje – jest wymaganiem kierującym się metodą.

Już u Platona widzimy walkę prowadzoną z całą mocą między dwoma formami słowa, walkę rozstrzygniętą triumfalnie na korzyść logosu myśli filozoficznej, przesądzającą o tym, co moglibyśmy nazwać „potępieniem poezji". W ten sposób rozpoczyna się w świecie zachodnim życie poezji zdane na los przypadku i, jakby na marginesie prawa, jej podążanie wąskimi ścieżkami, jej błądzenie nierzadko po manowcach, jej coraz większe szaleństwo, jej przekleństwo. Odkąd myśl „przejęła władzę", poezja zaczęła żyć na peryferiach, dzika, rozdarta, wykrzykująca na cały głos wszystkie niewygodne prawdy, straszliwie niedyskretna i zbuntowana. Bo choć filozofowie nie rządzili dotąd żadną republiką, rozum przez nich ustanowiony sprawował całkowite panowanie w dziedzinie poznania, a to, co nie było radykalnie racjonalne, z osobliwą zmiennością albo człowieka fascynowało, albo wywoływało w nim bunt.

Nie zamierzamy tutaj pisać historii tych zmiennych losów, chociaż byłoby to bardzo potrzebne, zwłaszcza gdyby zbadać ich głębokie powiązania

z innymi zjawiskami, które nadają epoce jej charakter. Zanim podejmiemy się takiego przedsięwzięcia, lepiej rozjaśnić tło dramatycznego konfliktu, który te przemiany powoduje. Warto raczej przyjrzeć się walce między filozofią a poezją i choć trochę określić, na czym polega konflikt, w którym miota się byt potrzebujący ich obu. Warto, owszem, ukazać powód tej podwójnej nieodzownej potrzeby: poezji i myśli, oraz horyzont, wyłaniający się jako rozwiązanie konfliktu. Horyzont, który – jeśli nie jest złudzeniem zrodzonym z osobliwej żarliwości, z upartej miłości marzącej o pojednaniu ponad obecnymi rozbieżnościami – oznaczałby nowe życie i poznanie.

„Na początku było słowo", *logos*, słowo stwarzające i porządkujące, które wprawia w ruch i stanowi prawo. Poprzez to zdanie najczystszy rozum chrześcijański splata się z filozoficznym rozumem greckim. Przyjście na ziemię istoty, która w swojej naturze miała sprzeczność największą, nie do pomyślenia – będąc zarazem boską i ludzką, nie zatrzymało w drodze, poprzez swój boski absurd, logosu platońsko-arystotelesowskiego, nie złamało potęgi rozumu ani jego pierwszeństwa. Pomimo „szaleństwa mądrości", o którym mówił pałający gniewem święty Paweł, rozum jako ostatni korzeń wszechświata trwał niewzruszony. Nadeszło

jednak coś nowego: rozum, *logos* był twórczy, wobec otchłani nicości. Był słowem tego, który mógł dokonać przez nie wszystkiego. *Logos* był poza człowiekiem i poza naturą, poza bytem i poza nicością. Był początkiem poza wszystkim, co ma początek.

Jakie korzenie mają w nas myśl i poezja? Nie chcemy na razie ich definiować, lecz odnaleźć tę potrzebę, tę ostateczną potrzebę, ma zaspokoić każdą z form słowa. Jaką wygłodniałą miłość przychodzą nasycić? I która z dwóch potrzeb jest największa, zrodzona w najgłębszych warstwach ludzkiego życia? Która bardziej nieodzowna?

Jeśli myśl narodziła się tylko z zachwytu, jak nam mówią czcigodne teksty[1], to niełatwo jest wyjaśnić, jak mogła tak szybko przybrać postać systematycznej filozofii. Ani też jak jedną z jej największych cnót mogła się stać abstrakcja – ta idealność, którą można zdobyć w spojrzeniu, czy raczej w takim rodzaju spojrzenia, które przestało dostrzegać rzeczy. Bo zachwyt, jaki budzi w nas hojna obecność życia wokół nas, nie pozwala tak szybko oderwać się od mnóstwa cudów, które go budzą. I tak samo jak życie zachwyt ten jest nieskończony, nienasycony i nie chce głosić swojej własnej śmierci.

[1] Arystoteles, *Metafizyka*, Ks. I 982 b.